Nr. 265. **Niedziela 21 Października 1877.** Rok 67

GAZETA LWOWSKA

Wychodzi codziennie o godzinie 4 po południu z wyjątkiem świąt i niedziel.
Numer pojedyńczy kosztuje w miejscu 5 centów, pocztą 7 centów.
Biuro Redakcyi i Administracyi ulica Wałowa Nr. 29.

Prenumerata z przesyłką pocztową wynosi rocznie 16 zł., półrocznie 8 zł., kwartalnie 4 zł., miesięcznie 1 zł. 35 ct. W miejscu rocznie 12 zł., półrocznie 6 zł., kwartalnie 3 zł., miesięcznie 1 zł.
Przewodnik naukowy i literacki, dodatek miesięczny do „Gazety Lwowskiej" otrzymują cało- i półroczni abonenci bezpłatnie, jednakże ci tylko, którzy prenumerują od 1 stycznia do końca czerwca, lub od 1 lipca do końca grudnia, ćwierćroczni zaś i miesięczni za dopłatą, pierwsi 75 ct., drudzy 30 ct. — Przewodnik prenumerowany osobno kosztuje 4 zł.

Jednorazowe inseraty obliczają się po 7 cent. kilkorazowe po 6 ct. od miejsca jednego wiersza.
Listy należy frankować. Reklamacye otwarte wolne są od opłaty.

CZĘŚĆ NIEURZĘDOWA

Lwów, dnia 21 października.

Dziś ćwierć miliona wyborców francuskich staje po raz wtóry przy urnach wyborczych, ażeby wybrać posłów w 14 okręgach, w których przed tygodniem pierwsze głosowanie nie przyniosło żadnemu kandydatowi absolutnej większości głosów. Kilkanastu posłów, którzy dziś wyjdą z urny wyborczej, nie obali większości republikańskiej, która w najgorszym razie wynosić będzie 100 głosów. Mimo to jednak wybory uzupełniające mają znaczenie i wiele zależy od tego, komu dziś szczęście sprzyjać będzie. Gabinet Broglie-Fourtou nie myśli o dymisyi, marszałek Mac-Mahon nie chce rozstać się z nim a organa półurzędowe tak przedstawiają rezultat wyborów, jakgdyby kraj usłuchał głosu swego prezydenta i potępił radykalne stronnictwo. Jeśli 50 głosów zyskanych w dniu ogólnych wyborów tak dalece zadowoliło gabinet, to zwycięstwo dziś odniesione w większej części okręgów tylko utrwali ministrów w zamiarze wytrwania u steru a marszałka w zamiarze rządzenia za pomocą gabinetu konserwatywnego.

Gambetta doznał w ciągu tygodnia dwóch zawodów. Najpierw bowiem nie wybrano jak nieraz wśród agitacyi wyborczej zapowiadał 400 republikanów a powtóre wybory mimo zwycięstwa republikańskiego nie stawiają marszałka Mac-Mahona w takiej kolizyi, żeby musiał—mówiąc słowami Gambetty — „albo poddać się albo ustąpić". Słowa te wypowiedziane przez Gambettę kilka razy z demonstracyjnym naciskiem, stanowią jeden z największych błędów politycznych, jakie szef republikanów w ogóle dotąd popełnił. Gdyby nie ta alternatywa, gdyby nie to dotkliwe podrażnienie ambicyi politycznej marszałka Mac-Mahona, kto wie, czy gabinet Broglie-Fourtou zaraz w poniedziałek ubiegły nie byłby poszedł za przeszłorocznym przykładem Buffeta i ustąpił na rzecz umiarkowanej frakcyi republikańskiej.

Jeśli nie zajdą nadzwyczajne wypadki i gabinet obecny wytrwa aż do otwarcia sesyi nowego parlamentu, Fortou będzie mógł z trybuny zawołać do Gambetty, że teraz on a nie marszałek ma do wyboru alternatywę: podać się albo ustąpić! Gambetta musi poddać się umiarkowaniu, jeżeli nie chce lekkomyślnie narażać republiki na nowe przesilenie wyborcze, po którem z dawnej 363 członków liczącej falangi republikańskiej pozostałoby zapewnie tylko 200 a więc mniejszość. Jeden wybór przetrwała ta falanga ze stratą 50—60 głosów, przy drugim straciłaby dwa razy tyle, bo tysiące wyborców widząc niezłomną dążność marszałka Mac-Mahona do wskrzeszenia większości konserwatywnej stanęłyby po jego stronie. W każdym kraju, a we Francyi głównie, wielki zastęp stanowią wyborcy, ktorzy idą za prądem przemagającym w danym razie. Przed tygodniem nikt nie przypuszczał, że po wyborze większości republikańskiej Fourtou pozostanie u steru, dziś jestto już faktem niezaprzeczonym i wymownie świadczącym, że nie tak prędko Gambetta dyktować będzie marszałkowi, kogo ma mianować ministrem.

Jeżeli Gambetta zdobędzie się na abnegacyę i ułatwi marszałkowi wytworzenie gabinetu koalicyjnego, złożonego z konserwatystów i umiarkowanych republikanów, Francya do r. 1880 uwolnioną będzie od przesilenia. Jeżeli zaś Gambetta nie cofnie swojej alternatywy, jeżeli na czele większości dalej atakować będzie marszałka, ażeby go najcięższą bronią parlamentarną zniewolić do poddania się lub do ustąpienia, Francya będzie musiała przebyć drugie przesilenie wyborcze albo przygotować się na rządy gabinetu opartego na konserwatywnej większości senatu a tem samem zostającego w ciągłej wojnie z Izbą deputowanych. W Bawaryi już dwa lata rządzi gabinet nie posiadający większości w Izbie. dlaczegóż więc nie mogłoby to powtórzyć się we Francyi, która z powodu swoich wyjątkowych stosunków konstytucyjnych prędzej pozwolić sobie może anomalię tego rodzaju.

Jakikolwiek zwrot zajdzie w dalszym toku przesilenia francuskiego, to już dziś nie ulega wątpliwości, że wbrew groźbie exdyktatora Gambetty marszałek Mac Mahon ani się nie podda ani nie ustąpi.

KORESPONDENCYE

Konstantynopol, 9 października.

△ Dnia dzisiejszego rozpoczęło się święto *bajramu*, a ja wam tym razem nie pisałem nawet o poprzedzającym go *ramazanie*, czego obecnie dopełniam wzmianką, że teraźniejszy odbył się w odmiennej formie od zwyczajnej, bo *szeik ul-Islam* umyślną *fetwą* zwolnił żołnierzy i całe wojsko, znajdujące się na teatrach wojny i w czynnej służbie polowej, od obowiązku zachowywania ściśłego przez cały dzień postu i wyprawiania nocnych *iftarów*.

Nie wszędzie jednak chciano z tej dyspensy korzystać. W armii przynajmniej Derwisza baszy, rozłożonej pod Batumem w Azyi, a obozującej do tej pory bez namiotów pod gołem niebem, biedni żołnierze obdarci, i bez okrycia, nie mogąc wytrwać od zimna, ani spać na rozmiękłej od ciągłych deszczów ziemi, zbierali się przy rozpalonych ogniskach i *ramanazowali* przy nich nie na *iftarze*, i nędznej biesiadzie, bo odbierają zaledwie robaczliwe suchary i ryż, a od czasu do czasu nieco mięsa, ale krzepiąc ducha opowiadaniem różnych przygód i bajek wschodnich, a ciało ogrzewając ciepłem ognisk obozowych, nie sarkając nigdy na to, ani nie okazując najmniejszego nieukontentowania, spełniali nazajutrz obowiązki swe służbowe z wzorową ochotą i gorliwością, ku admiracyi dr. Czarkowskiego, który niedawno z tamtego obozu na *teptil-hawę*, t. j. na zmianę powietrza do Konstantynopola przyjechał i opowiadał mi wiele ciekawych szczegółów o tej armii Derwisza baszy, jak i o nim samym.

Nietylko jednak w obozie Derwisza baszy, i po innych obozach odbywał się teraźniejszy *ramazan* trybem niezwykłym. To samo działo się i w Konstantynopolu.

Wedle przyjętego u muzułmanów zwyczaju przy *iftarze* i nocnem jedzeniu stół dla każdego otwarty: znajomy czy nie, znaleźć musi przy wspólnym stole, albo przy osobno postawionej *sofrze* gościnne przyjęcie i jedzenie. Gość taki nie ma potrzeby ani się dawać poznać gospodarzowi, kiedy przychodzi, ani dziękować i żegnać się przy wyjściu.

Piękny to i bardzo pożądany zwyczaj dla biednych zwłaszcza chudopachołków, ale bardzo kosztowny i uciążliwy dla zamożnych, mianowicie wyższych dygnitarzy państwa. Do W. Wezyra n. p. przychodziło w czasie zwyczajnego *ramazanu* takich nieproszonych i nieznanych gości kilkudziesięciu, czasem i parę set przez noc na *iftar*, a każdy musiał być częstowany zarówno z drugimi.

Nieprzyjaciele kwiatów

II.

Dolina siana w romańskim, miejscowym dyalekcie *Val del fein* jest to dość szeroki wąwóz, wijący się pomiędzy nagiemi górami. Niewielki strumień i mnóstwo źródeł pobudzają ubogą ziemię do bujnej stosunkowo wegetacyi, a jak tylko z końcem czerwca znikną śniegi, tysiące gatunków traw i ziół korzysta z chwili, aby rozwinąć liście i kwiaty. Z końcem lipca wąwóz stoi w kwiecie, z początkiem sierpnia przychodzą włoscy kosiarze a sprzątnąwszy najznakomitsze w Alpach siano, pozostawiają po sobie pustynie. Ostatnie więc dni lipca są ową przelotną chwilą, na którą z niecierpliwością czeka niejeden botanik z Niemiec i Anglii. Jeśli pogoda, wyprawa się udaje, jeśli deszcz i zimno, trzeba czekać drugiego roku.

W tym roku najpiękniejsza pogoda, o jakiej tylko zamarzyć można, towarzyszyła botanicznym wycieczkom. Słońce oświecało dopiero szczyty gór, wąwóz pokryty jeszcze był białą rosą, a już z dala spostrzegłem dwie postacie, które co chwilę zatrzymywały się, schylały, wchodziły w najbujniejszą trawę, oczywiście botanicy, nieprzyjaciele kwiatów.

Biedne kwiaty! Nie można ich kochać, nie niszcząc ich! Człowiek zawsze egoistą, chciałby posiąść przedmiot, który mu się podoba. Kwiaty stoją bezbronne, nie dziw, że źle wychodzą na ludzkiej miłości.

Zbliżyłem się do mniemanych botaników; jakież było jednak moje zdziwienie, gdym zamiast profesorów spostrzegł dwóch znajomych z omnibusu, piekarza z Raperswill, o którym miałem wyobrażenie, że oprócz na drożdżach na niczem się nie rozumie i kramarza z Szafuzy.

— Czegoż panowie tutaj szukacie? zapytałem zdziwiony.

— Rzadkich roślin — odpowiedział piekarz i dodał z dumą i radością: własną ręką zerwałem dzisiaj *Edelweiss*.

— Kto was nauczył tej manii botanizowania? Czyście ją przyjęli od Anglików i Amerykanów.

— Jeszcze u nas nie bywali Anglicy, a jużeśmy byli dumni z naszych gór i roślin, odpowiedział piekarz — trzeba być z gruntu złym człowiekiem, żeby nie lubić kwiatów.

— Nie przeczę, gdybyście jednak tak bardzo byli przywiązani do waszej roślinności, tobyście jej nie niszczyli.

— Nie troszcz się pan, wystarczy jeszcze dla nas i dla naszych wnuków, a tak już jest na świecie, że *was man liebt, das will man haben*. Za kilka dni i pan będziesz się spinał po górach, aby znaleźć *Edelweiss*; jak tylko bardziej naszą roślinność polubisz, staniesz się pod tym względem do nas podobnym.

Szwajcarzy poszli dalej, a ja przypadkowo napotkałem tak piękną grupę bladoróżowych eryk, drobnych, rozkładających się po ziemi azalij, i ciemnoniebieskich gencyan, które z ziemi już kwitnące zdają się wychodzić, że spojrzałem tylko, czy mnie Szwajcarzy nie widzą i czemprędzej duży tych pięknych kwiatów zerwałem bukiet, tak mi trudno się było z niemi rozłączyć.

Za dwa dni szedłem nad Lago Nero z małą praską na rośliny w ręku.

Na samym grzbiecie wąwozu Berniny, przeszło 9000 stóp nad powierzchnią morza, malowniczą swą pięknością dwa uderzają jeziora: jedno czarne jak atrament, drugie białe jak mleko wodą rozcieńczone. W około nagie, dzikie góry, a potężne lodowce i wieczne śniegi błyszczą w lipcowem słońcu swym magicznym połyskiem. Lago Nero posyła swe wody drogą Inu i Dunaju do morza czarnego, Lago Bianco do Adryatyku. Pierwsze zawdzięcza swój kolor torfowym pokładom, na których się rozlewa, drugie powstaje z wód dwóch lodowców, a jak wiadomo wody te tak zwane *mleko lodowców* zupełnie są białe, zanim dłużej się nie zetkną z powietrzem.

Na torfowej powierzchni brzegów czarnego jeziora jest mnóstwo drobnych, nadzwyczaj rzadkich kwiatów. Różne rodzaje pingwikoli, silen, gnofaliów i wiotkich wełnianek, a eryki zdają się walczyć z topniejącym śniegiem o każdy kawałek ziemi, zaledwie bowiem zeszła zimna biała pokrywa, a już różowe kwiatki główki swe wychylają.

Po nad jeziorami wije się wyborny gościniec, łączący Włochy z Engadyną, a przy nim stoi ogromny hotel Bernina. Sześć tygodni w roku panuje tutaj życie: omnibusy, powozy zajeżdzają co chwilę, garsony w białych krawatach biegają po schodach, *table d' hôte* nakryte kilka razy na dzień, po sześciu tygodniach jednak cisza zapanowała w zimnych murach, a echo tylko spadających lawin o nie się odbija.

Napełniony tak rzadkiemi roślinami szedłem ku hotelowi. Jakiś niezwykły ruch widać było; na obszernym placu przed domem kilkanaście cztero i parokonnych powozów stanęło rzędem, konie dzwoniły swemi zaprzęgami ustrojonemi na włoski sposób w mnóstwo małych dzwoneczków i lisie ogony.

Włoska królewiczowa Margueritta, bawiąca w Pontresinie, wyprawia tam śniadanie. Pomiędzy gośćmi jest księżna Wiera wirtemberska i młodszy Bismark. Nie można było mieć lepszego pomysłu. Z jednej strony przepyszny widok na obydwa jeziora, z drugiej zaspy śnieżne, dotykające prawie samego hotelu, o pół godziny dalej *Alp-Grün*, a tam już Włochy; u podnóża dolina Weltliny, źródło najlepszych win lombardzkich. W wielkiej sali hotelowej wesoło, śliczny stół dostojne zajęło towarzystwo, zwykli śmiertelnicy cisną się około bocznych stolików. Sala przybrana w to, co te wysokości najpiękniejszego wydać tylko mogą, a więc w bukiety z alpejskich kwiatów, pomiędzy któremi wygląda wypchana kozica, bobak stoi na dwóch łapach, kura alpejska biały swój ogon roztacza.

Każdy z turystów ciekaw księżnej Margueritty. Wszak to najpiękniejsza i najpopularniejsza Włoszka. Co do mnie, muszę chyba powiedzieć, że jest najpiękniejsza Włoszka, skoro sobie zdołała pozyskać serca swego narodu od Neapolu po Turyn i Wenecyę. Księżna wracała niedawno z Wenecyi, gdzie brała morskie kąpiele; a przywiązanie do niej narodu dosięgało jej aż w szwajcarskie góry, mnóstwo bowiem włoskich rodzin z Wenecyi, Medyolanu i Turynu tylko po to przyjechało do Pontresiny, do St. Moritz, lub do Samadeen, aby módz ulubioną księżnę zobaczyć na górskich spacerach.

Jednego dnia, a było to jeśli się nie mylę, 14 sierpnia, wielki popłoch powstał pomiędzy włoską kolonią: księżna w nielicznem towarzystwie przedsięwzięła dotrzeć do szczytu Piz Ner, góry na którą niekażdy alpejski turysta się odważa. Ranek był cudowny, słońce świeciło jak nad Medyolanem, wycieczka rozpoczęła się pod najlepszą wróżbą. W pół drogi jednak zmienił się horyzont, ciemne chmury jak złowrogie duchy powychodziły z po za szczytów, śnieg zaczął pruszyć, a wiatr tak się zerwał silny, że księżna nie mogła się utrzymać i upadła. Zawieziono ją do najbliższego hotelu a setki cudzoziemców zgłaszało się nazajutrz u portyera, pytając o zdrowie dostojnej turystki.

— Lekkie przeziębienie; doktor obiecuje, że księżna do trzech dni będzie wychodziła — odpowiadał portyer od rana do wieczora.

Włoskie dzienniki przez tydzień miały o czem pisać, podawały plany góry Piz Ner, o której dotąd nikt nie wiedział, naznaczały miejsce, w którem księżna upadła i robiły reklamę hotelowi Kulma w St. Moritz, który miał to szczęście przyjąć ją w swe progi

Otóż na początku obecnego *ramazanu* ogłosili tutejsi dygnitarze przez dzienniki, że nie będzie u nich otwartego stołu. Pieniądze przez to zaoszczędzone ofiarowali na potrzeby armii i rannych lub chorych po szpitalach żołnierzy. Ale bo też potrzeby coraz się zwiększają. Przedwczoraj przywieziono tu znów z Adryanopola 15 wagonów zapełnionych rannymi. Przyznać jednak trzeba, że w miarę rosnących potrzeb i źródło publicznej ofiarności staje się coraz obfitsze i wydało dotychczas rezultat wcale niepośledni. *Pharc du Bosphore* podaje, że ze składek publicznych na potrzeby armii i rannych, wpłynęło dotąd do kasy komitetu około 56 milionów piastrów. Suma wcale nie do pogardzenia.

Ale wracam jeszcze na chwilę do *ramazanu*, aby powiedzieć, że jak to święto odbyło się trybem odmiennym, tak odmiennym odbędzie się i *bajram*. Bióra nie będą zamknięte, jak dawniej bywało, już w wilią *bajramu*, na *arife*, przez wszystkie trzy dni świąt, ale *taatyl* trwać tylko będzie przez dzień dzisiejszy, a od jutra zobowiązani są wszyscy urzędnicy znajdować się już po swoich biurach.

Dawniej bywało, że z okazyi *bajramu* ułaskawiał sułtan czasami całe kategorye pewnych więźniów, czasami pewne tylko z pomiędzy nich indywidua. Obecnie żadne jeszcze podobne ułaskawienie nie zostało ogłoszonem. Jeżeli nastąpi i spotka kogo, to nadziei tej pewnie mieć nie mogą Bułgarzy, na których sądy bardzo surowe odbywają się ciągle jeszcze w Adryanopolu.

Przy końcu przeszłego miesiąca wywieziono ztąd, skazanych przez te sądy na więzienie, statkiem austryackiego *Lloyda* 50 takich Bułgarów do St. Jean d' Acre. Przed kilku dniami porozwieszano po rozmaitych dzielnicach miasta Adryanopola innych 30tu Bułgarów. Liczba zaś podobnych ofiar bodaj czy nie będzie wzrastała, zważywszy pewne agitacye, które się podobno dalej mają prowadzić.

Góra Athos ma w Salonice swoją *filię*, czyli, jak się u nas pono nazywa, *hospitium*. Do niego przybyło temi czasy trzech mnichów, którzy obudzili podejrzenie rządu. Kazano ich aresztować i znaleziono przy nich wielce kompromitujące pisma, papiery i druki, przeznaczone na rozszerzanie pomiędzy Bułgarami. Pokazało się, jak twierdzi *Turquie*, że to byli agenci rossyjscy, przebrani za popów. Takich pseudopopów ma się na górze Athos znajdować kilka tysięcy. *Wakit* podaje ich liczbę na 10 tysięcy. Między niemi znachodzić się mają wysłużeni starzy wojskowi wszelkich stopni, nawet generałowie.

Rada państwa.

Podajemy mowę p. Jaworskiego, mianą w Izbie deputowanych Rady Państwa dnia 16 b. m. podczas rozpraw nad ustawą o opodatkowaniu okowity:

„Lubo najzupełniej się zgadzam na troskliwość rządu i komisyi o zapewnienie bytu gorzelniom rolniczym, która znajduje wyraz w ustępie ostatnim §. 27, lubo bynajmniej nie zapoznaję tej troskliwości i lubo przekonany jestem, że dostąpienie tych względów powinno zależeć od pewnych kautel i warunków, nie mogę jednak zgodzić się na ustęp pierwszy tego paragrafu, mianowicie na tę część, która przepisuje, że gorzelnia wtedy tylko ma dostąpić tego uwzględnienia, jeśli wraz z gospodarstwem rolnem prowadzoną jest przez jednę i tę samę osobę.

Naprożno szukałem w motywach rządowych i w sprawozdaniu komissyi przyczyn i pobudek takiego przepisu; nie znając ich, nie mogę też zapuszczać się w ich zwalczanie, ale nie mogę domyślić się niczego innego, jak tylko, że większa może pewność rolnika co do defraudacyi podatku, niż ją przedstawia dzierżawca, stała się tu decydującą. Ja także, panowie, będę za jaknajwiększem ubezpieczeniem się przeciw defraudacyom, boć ubezpieczenie interesów skarbu wyjdzie także na korzyść gorzelnika rzetelnego przeciw nierzetelnemu. Ale pominąwszy nawet, że ustawa odmawia poniekąd całej klasie przemysłowców naturalnego prawa do dobrej sławy, pominąwszy także, że otwiera się tu szerokie pole umowom symulacyjnym, sądzę, iż wobec projektowanych w ustawie niniejszej surowych i dotkliwych kar, wobec ścisłego wykonywania istniejących przepisów, wobec bezwzględnego karania każdej defraudacyi, skuteczność przepisu takiego, jeśli domysł mój trafny, wcale nie powinna wchodzić w rachubę.

Pozwolę sobie, panowie, jako reprezentant kraju, w którym gorzelnictwo było dotychczas jedynym większym przemysłem, i gdzie ono tak ściśle było powiązane z gospodarstwem rolnem, w kilku słowach przedstawić wam położenie rolnictwa i stosunki gorzelnicze.

Przed może dwoma dziesiątkami lat, wyrób okowity w Galicyi z pewnością się opłacał, a co dziś wyjątkiem, wówczas regułą było, t. j. że właściciel ziemski prowadził gospodarstwo rolne, gorzelnię i połączoną z nią tucz bydła na własny rachunek. Niskie ceny ziemiopłodów wobec wysokich cen wyrobu, zapewniony zbyt za granicą, wolny od wszelkiej konkurencyi, względność rządu w wymiarze i poborze podatku, wszystko to w łączności sprawiało, że ta gałęź przemysłu coraz więcej zakwitała, że gorzelnie się rozmnażały, że przeto i na gospodarstwo rolne jaknajkorzystniej oddziaływały. Od owego czasu atoli, stosunki z gruntu się zmieniły, wysokie opodatkowanie, dławiąca konkurencya, targowisko na opasy nieraz o sto mil oddalone, targowisko, które zamiast zwykłych fluktuacyj podaży i popytu przedstawia raczej loteryę; wszystko to sprawiło, że gorzelnictwo w Galicyi coraz więcej podupadało, tak, że dziś należy do przedsiębiorstw z najmniejszemi widokami zysku.

Nie rzadkie, panowie, owszem bardzo częste są wypadki, że rolnik, który zniewolony swojemi stosunkami gospodarskiemi prowadził gorzelnię na własny rachunek, ostatecznie musiał sprzedać ameliorowaną majętność. Wydarzają się też często wypadki, że dzierżawca gorzelni lub obory opasowej, który rozpoczął w jesieni kampanię jako człowiek zamożny, skończył ją na wiosnę jako człowiek zrujnowany.

Podobnie jak z gorzelniami mają się rzeczy z gospodarstwem rolnem. I na tem polu wzmaga się z dnia na dzień niebezpieczna konkurencya państwa sąsiedniego. Rolnikowi galicyjskiemu trzeba pracować z wszelkiem wytężeniem sił fizycznych, umysłowych i materyalnych, aby wycisnąć z gruntu jaką taką rentę, nie pozostającą w żadnym zgoła stosunku z rentą kapitału. Tu trzy główne czynniki szkodliwie oddziaływają: brak sił roboczych, konieczność znacznego kapitału obrotowego i trudność pozyskania go, nakoniec klimat, zawodzący wszelkie oczekiwania, nadzieje i wyrachowania rolnika. Rolnik galicyjski nadto musi baczyć na ustawiczne utrzymywanie gruntu w kulturze, aby nie żył z kapitału, mniemając, że są to dochody.

Możnaby mi zarzucić — i z zarzutem tym nieraz się spotykałem — że i dlaczego rolnicy galicyjscy nie zmieniają gospodarstwa stosownie do stanu umiejętności, doświadczenia i wzoru krajów, które pod tym względem odznaczają się postępem. Zapewniam was, panowie, że rolnikowi galicyjskiemu nie braknie ani inteligencyi ani dobrej woli, ani też wytrwałości; ale nie wszystko dla każdego przydatne. I tak n. p. równie niepodobieństwem jest wskutek właściwości gruntu uprawiać rośliny pastewne w znacznej części Galicyi, mianowicie na płaskowzgórzu wschodnio-galicyjskiem, jak tamże wskutek tych samych właściwości gruntu niepodobną jest rzeczą zamienić część gruntu przydatnego pod zboże na łąki i pastwiska.

Naturalnem przedstawionych tu stosunków następstwem musiał nastąpić podział pracy w dwu tak ściśle połączonych z sobą przedsiębiorstwach, jak rolnictwo i gorzelnictwo. Z jednej strony widzi się rolnik, właściciel dóbr większych, wobec konieczności tworzenia sobie, wobec braku naturalnych łąk, surogatu paszy i nawozu za każdą cenę, z drugiej strony powinienby rozporządzać znacznym kapitałem, chcąc prowadzić i rolnictwo i gorzelnictwo wraz z oborą opasową na własny rachunek. Musiałby być naraz rolnikiem, kupcem, fabrykantem i eksporterem.

Rzecz naturalna, panowie, że stosunki tak się ukształcić musiały, jak są teraz, t. j. że trzeba było ile możności powydzierżawiać gorzelnie. Ale jak mało zyskowne jest takie przedsiębiorstwo, niech wam dowodem na to będzie ta okoliczność, że u nas w Galicyi, przy wydzierżawianiu gorzelń i obór opasowych, nie wchodzi w rachubę renta z fabryk, budynków i aparatów, że wydzierżawiający rolnik daje dzierżawcy płody swoje, przerabiane w gorzelni, kartofle i drzewo, po cenach znacznie tańszych i na kredyt, często na bardzo długi kredyt, aby tylko gorzelnia pozostała w ruchu, za cenę, która w porównaniu z zwykłemi cenami po strąceniu kosztów dzierżawy o wiele jest tańsza.

Takieto, panowie, są stosunki u nas w Galicyi. Nie umiem powiedzieć na pewno, jakie są w innych krajach, ale nie zdaje mi się, iżby rolnik z któregokolwiek innego kraju mógł zgodzić się na przepis powyżej wspomniany. Bo stosunki albo są te same, a wtedy stosuje się do nich, co się rzekło, albo też kraje te są w tem szczęśliwem położeniu, że stosunki ich są inne, a wtedy ustęp ten wydaje mi się zbytecznym; ale zawsze pozostaje możność, że stosunki ich zmienią się tak, jak je co dopiero przedstawiłem.

Naturalnem tego przepisu następstwem będzie, że osiągnie się cel wręcz przeciwny zamierzonemu, t. j. pokrzywdzenie skarbu przez upadek gorzelń, pokrzywdzenie rolnictwa, a co główna, pokrzywdzenie zakwitającej dopiero hodowli bydła.

Proszę was przeto, panowie, nie zezwalajcie na przepis, który w rezultatach swych niepraktyczny, który owszem sprawić może coś wręcz sprzecznego z zamiarem ustawy; proszę was, nie zezwalajcie na przepis, który dla niezamożnych, ale rzetelnych rolników w najwyższym stopniu jest weksacyjny, dla zamożnych co najmniej zbyteczny, dla nierzetelnych zaś po prostu ułudny.

Pozwalam sobie przeto wnieść, by uwzględnienie, zawarte w §. 27, dostawało się gorzelniom rolniczym pod tym tylko warunkiem, „że gorzelnia stanowi nierozłączną cząstkę gospodarstwa rolnego“ — wszystko inne w ustępie tym proszę opuścić. (Brawo! brawo! z prawicy).

SPRAWY ZAGRANICZNE

(Obóz turecki w Szybce)

Korespondent *Pol. Cor.*, który bawił kilka dni w obozie tureckim w Szybce, w liście datowanym z dnia 5 października opisuje obóz turecki i życie żołnierzy ottomańskich. Obóz turecki w Szybce rozpościera się na przestrzeni mającej około $^1/_2$ godziny szerokości i godzinę długości. Rozmaite gatunki broni są ugrupowane w sposób praktykowany we wszystkich armiach. Artylerya znajduje się pomiędzy piechotą i kawaleryą. Baszowie i oficerzy sztabowi mieszkają w namiotach, większa część innych oficerów i szeregowcy mieści się w barakach zbudowanych z gałęzi. Baraki te są trójkanciaste, dość wysokie, pokryte słomą, sianem lub czems podobnem a tak obszerne, iż jedna kompania może znaleść pomieszczenie. Żołnierze są zaopatrzeni w koce, które jednak nie są dostateczną osłoną przeciw nocnemu zimnu. Szczęście, że Bułgarzy uciekając pozostawili ogromną liczbę kołder, które się teraz bardzo przydały głównej kwaterze tureckiej. W obozie panuje porządek i czystość, czego jednakże nie można powiedzieć o najbliższem otoczeniu. W lesie odległym od obozu około 2000 kroków, w którym się także znajdują wojska, leżą jeszcze niepogrzebani polegli żołnierze tureccy, zamordowani Bułgarzy i trupy końskie, także w około powietrze jest zanieczyszczone. Podług opowiadania oficerów tureckich znajduje się mianowicie na górze Alikri-Djebel, gdzie jak wiadomo stoczono wiele i zaciętych walk, około 1000 niepogrzebanych poległych żołnierzy. Jakoż należy się dziwić, że w szeregach tureckich nie grasują dotąd niebezpieczniejsze choroby. Żywienie wojska pozostawia wiele do życzenia. Podczas gdy w Europie żołnierz dostaje lepszy pokarm, a nadto wino i kawę, Turek właśnie podczas wojny gorszą otrzymuje żywność niż w pokoju. Żołnierze stojący na posterunkach otrzymują na dobę tylko kawałek dobrego smacznego sucharu, który wraz z kilku oliwkami i łykiem wody stanowi całą strawę obiadową. Mimo to żołnierze są zadowoleni. Wielu żołnierzy, mianowicie baszybożuków, nie różni się od żebraków, tak są obdarci. Daleko lepiej wyglądają nizamy, którzy się okazali wybornymi żołnierzami. W chwilach wolnych od musztry żołnierze i oficerowie siadają w malowniczych grupach i rozmawiają o przygodach wojennych, a gdzieniegdzie można spostrzedz piśmiennego który dla kilku towarzyszy pisze listy. Do tego nie potrzebuje Turek nigdy stołu. Z podłożonemi nogami siedzi na ziemi z kartką papieru na powierzchni ręki i tak pisze. Dzięki niedołęstwu poczt tureckich ludzie ci nie otrzymują nigdy odpowiedzi, lub też bardzo rzadko i to zwykle po skończeniu kampanii. Gazety widzi co najwyżej ten lub ów pułkownik, lub basza, żołnierz turecki nie jest zresztą ciekawy tego, co się dzieje w jego ojczyźnie, jakie współczucie pozostali w domu żywią dla walczących w polu.

Oficerowie tureccy z małemi wyjątkami nie znają map geograficznych: ale za to nie znają też kart do grania i wogóle gier hazardowych. Na książkach wojskowych i regulaminowych zbywa całkiem w obozie tureckim. W sztabie jeneralnym korpusu, stojącego w Szybce, odznaczają się dwaj oficerowie, z których jeden był dawniej kapitanem angielskiego sztabu jeneralnego. Wielką wadą generalnego sztabu tureckiego jest zupełny brak podziału pracy. Komenderujący generał i sam sztab generalny musi załatwiać bardzo podrzędne pisma, gdyż nie posiada personalu kancelaryjnego. Tak więc komendanci armii pełnią właściwie służbę podoficerską. Służba bezpieczeństwa i patrolowa nie jest tak złą, ale pozostawia zawsze wiele do życzenia. Każdy regularny żołnierz musi doznać bardzo przykrego wrażenia, gdy widzi, jak baszybożucy i Czerkiesi pod nosem posterunków wchodzą i wychodzą z obozu według upodobania, jak gdyby tylko z łaski służyli w polu, i jak gdyby samo przez się rozumiało, iż im wolno od czasu do czasu urządzać małe expedycye rabunkowe i według własnego upodobania wracać do obozu.

(Głosy angielskie o armii rossyjskiej).

Nie zbyt pochlebnie opisuje z Bukaresztu korespondent dziennika *Times* armię rossyjską i jej oficerów. „Jeżeli, pisze ten korespondent pomiędzy innemi, porównamy owe śmiałe nadzieje, wśród których rozpoczęła się kampania, z tem, co się istotnie stało w ciągu całej wojny, to zaiste zdumieć się musimy na widok kontrastu, jaki zachodzi między tą olbrzymią siłą zbrojną, jaką Rossya według powszechnych przypuszczeń miała wysłać do boju, a rzeczywistością

Odbiegłem jednak od tematu — od kwiatów...

Piz Languard jest najwyższym szczytem w Engadynie, a bohaterowie nawet, którzy na Mont Blanc bywali, nie mają sobie za ubliżenie na Piz Languard przedsiębrać wycieczkę; trzeba jednak pogodnego dnia, najczęściej bowiem wyszedłszy po pięciogodzinnem drapaniu się na wierzchołek, widzi się nad sobą niebo — a pod sobą chmury; cały obszar Alp znikł w ciężkiej, leniwej mgle...

Rzadkie rośliny wynagrodziły jednak wycieczkę — w tece znalazł się *diantus glacialis*, rodzaj bardzo niskiego i drobnego goździka. Co za tryumf wobec pań przy *table d'hôte*! Co za lekceważenie tych, którzy tylko tem się mogą poszczycić, że znaleźli *leontopodium*! Ile spojrzeń zazdrości, ile przymówek!

— Czy pan nie znalazłeś przypadkowo więcej egzemplarzy tak rzadkiej rośliny? Czy nie możnaby się z panem zamienić na kwiat jeszcze rzadszy?

Nawet pan Cavienzell z Pontresiny, ów nadleśniczy i najznakomitszy w Engadynie tępiciel kwiatów, raczy protekcyjnie pochwalić rzadki obraz goździka i mimochodem zapytać się, w którem miejscu znaleziony?

Szczęśliwa zdobycz wzbija nas w dumę, zaczynamy pojmować namiętność zbierania alpejskich roślin, mimowiednie stajemy się zapalonymi nieprzyjaciołmi kwiatów. Kupuje się więc stosy bibuły, zamiast prass używa się wszystkich komód i kufrów, myśli się o pięknym albumie, czyta się książki o alpejskiej florze, zwraca się uwagę na każdy mech, o którego istnieniu dotąd się nie wiedziało, po kilku tygodniach zielnik gotów, flora letnia Engadyny prawie w komplecie, ale cóż kiedy to tylko flora Engadyny! Człowiek zawsze więcej pragnie aniżeli to, co ma i mieć może. Gdyby to jeszcze przebywać kilka tygodni u stóp Pilatusa, w innej okolicy Szwajcaryi, bo Pilatus to prawdziwa Kalifornia dla botanika; czas jednak mija, nad Engadyną coraz cięższe zaczynają przebiegać [illegible]ry, zimny wiatr każe myśleć o futrach; hotele się wypróżniają, Anglicy z kuframi wielkiemi jak arki Noego ciągną na południe, na Berninę i Maloggię, ku Włochom.

Na Maloggii rzadkie rośliny, więc i my jedźmy tamtędy. O czwartej zrana poczta wychodzi do pięknej Chiavenny, śnieg spadł na górach, w St. Moritz deszcz ze śniegiem. Kilku Włochów, którzy jadąc do Szwajcacyi nie mieli wyobrażenia o górskiem powietrzu, marznie przed pocztą, obwija szyję szalem, podczas gdy wiatr swobodnie igra lekkim paletotem. Wreszcie rusza wóz pocztowy, znikają hotele Engadyny, znikają piękne jeziora Innu, droga prowadzi jeszcze wyżej, aż do Maloggii, zkąd się szybko zacznie zniżać ku Włochom, ku jeziorze Como. O dwunastej w południe jesteśmy na wysokości wąwozu, wiatr przewiewa pled i dwa paltoty, a na dole musi być gorąco, bo drzewa tak pięknie się zielenią i blask promieni słonecznych aż tutaj oczy olśniewa.

Za kilka godzin jesteśmy w pobliżu Chiavenny. Upał nie do wytrzymania. Pled i paletoty wędrują na wierzch karety, zwinne jaszczurki uwijają się po kamieniach, hoże chłopaki biegną za powozem, wywracając koziołki i prosząc o *bajocco* — widać zielone mundury włoskich celników — stajemy przed komorą. Ogromne kufry i pudełka biegają jak piłki, słowa „cygara“ słychać ze wszystkich stron, jakiś strażnik przybliża się do nas:

— A co pan masz w tem pudełku?

— Zasuszone alpejskie rośliny...

— Rośliny!— wykrzyknie przestraszony strażnik—to gorsze od cygar! Pod żadnym warunkiem przewozić nie wolno! Proszę mi oddać pudełko, musi być spalone!

— Dla czego, na co, po co? Pudełka nie oddam, w niem jest owoc kilkutygodniowych po górach wycieczek!

Nic nie pomogło... trzeba było najrzadsze rośliny złożyć na stosie. *Diantus glacialis* poszedł z dymem! A to dla tego, że Włosi obawiają się *philloxery*...

K. Ch.

Drugą, zastanowienia godną okolicznością jest bardzo szybkie znikanie tych zastępów wojennych, które istotnie przeprawiły się przez Dunaj. Trzecim i może najważniejszym powodem niepowodzeń rossyjskich jest fakt, iż w całej armii nie ma i nie było wodza o niepospolitych zdolnościach; wszyscy wodzowie posiadają co najwięcej średnie talenta a a bardzo często nie mają wcale żadnego uzdolnienia. Wyjątek w tej mierze stanowią tylko generałowie Skobelew, Dragomirów, (obecnie niezdolny do boju), ks. Mirski i Imerytyński. Głównym błędem armii rossyjskiej i ich wodzów jest brak inicyatywy. Coś, co leży w ogólnym systemie rządów, zdaje się tamować i paraliżować energię i działalność każdej jednostki. Nie ma armii na świecie, w którejby dokładano tyle starań, aby za pomocą osobliwszych nagród pobudzać i podtrzymywać ducha i energię żołnierza. Rozdzielanie *chrestów*, szabli honorowych, szlif oficerskich i t. d. jest na porządku dziennym. Car jest olbrzymiem i jedynem źródłem wszelkich honorów wojskowych; jest on ziemską opatrznością żołnierzy i oficerów; jest on upersonifikowaną sławą wojenną i siłą zbrojną kraju. Widziałem, pisze dalej korespondent *Times*, zgrzybiałych oficerów, którzy jak dzieci skakali, płakali, śmieli się z radości, iż otrzymali order. Biegali pomiędzy szeregi i pokazywali niemal każdemu z osobna otrzymaną dekoracyę. Nie ma już środka, pobudzającego żołnierza do czynów, któregoby nie zastosowano w armii rossyjskiej. Mimo to, jest jakieś „coś“, co tamuje swobodę działalności, energię i inicyatywę. Tem „coś“ jest, mojem zdaniem, odzwyczajenie od samoistnego działania i myślenia. Samoistnie działać i myśleć może tylko naród wolny. Z drugiej strony nie widziałem jeszcze nigdy armii tak potulnej, spokojnej i przyzwoitej. Pomiędzy 200.000 szeregowcami rossyjskimi nie widziałem jeszcze ani jednego pijanego żołnierza (?). W Anglii rozpowszechniło się zdanie, że każdy żołnierz rossyjski jest pijakiem i awanturnikiem. Jest to bardzo błędne mniemanie. Żołnierz rossyjski jest bardzo trzeźwy, bardzo sumienny w wypłacie swych długów. Bez szemrania płaci za każdy towar Bułgarom, za których walczy, a którzy oszukują go niemiłosiernie. Jedyną przyjemnością żołnierza rossyjskiego tak w obozie, jako też podczas marszu, jest śpiew. W Anglii rozpowszechniono jeszcze drugie błędne mniemanie, że w armii rossyjskiej panuje wyłącznie knut i nahajka. Odpowiem na to, że nawet w Niemczech nie znają takich środków moralnych, za pomocą których wpływa oficer na szeregowca, jak w Rossyi! Jedno słowo, co więcej, jedno spojrzenie oficera wystarcza do poskromienia najzuchwalszego żołnierza. O nahajce i knucie nie ma nawet mowy. W żadnej armii na świecie nie panują tak przyjacielskie i serdeczne, na wzajemnem poważaniu oparte stosunki, jak właśnie w armii rossyjskiej. Nawet w czasach wojennych nie wolno żołnierza karać cieleśnie, a co najwięcej wolno go zdegradować do klasy szeregowców, w której dawniej wolno było zastosować kary cielesne. Ależ zapytacie teraz, jak można z tak dobrą armią, tak waleczną i chętną do boju, przegrać tyle bitew? Odpowiem na to, że wina wszelkich niepowodzeń ciąży wyłącznie na sztabie generalnym. Sztab ten jest złożony z samych starych generałów i oficerów sztabowych, którzy nie mają wyobrażenia o prowadzeniu wojny. Na poparcie tego twierdzenia przytoczę wam fakt niezbity, którego byłem naocznym świadkiem. Działo się to pod Plewną w dniu 11 września. Generał Zatów dowodził w centrum i na lewem skrzydle; a miał on pod swoimi rozkazami około 5 dywizyj piechoty i 250 dział. O godzinie $11\frac{1}{2}$ w południe zajął pozycyę na cały dzień. Miał on atakować wielką redutę, położoną na południowej stronie Grywicy a prócz tego wspierać o ile możności Skobelewa i Imerytyńskiego, którzy mieli znowu atakować cztery reduty, położone wzdłuż drogi prowadzącej do Sofii. Generał angielski, mając do spełnienia tak ważne zadanie, byłby starał się z swoim sztabem zająć taką pozycyę, z którejby mógł bardzo ściśle czuwać nad każdem poruszeniem swojej armii. Zatów zaś wybrał miejsce, z którego zgoła nic nie widział. Dwie przepaście i dwa bardzo wysokie grzbiety gór, przedzielały jego stanowisko od armii. Sztab generalny siedział mu w tej bezczynności, a raczej w hulance, szampan bowiem lał się strumieniami. O czuwaniu nad przebiegiem bitwy nie było nawet mowy. Mnie i mojemu towarzyszowi sprzykrzyła się ta bezczynność; z miejsca, w którem staliśmy wraz z sztabem generalnym, nie było zgoła nic widać, wyjechałem tedy z moim towarzyszem za pagórek, położony naprzeciw reduty. Miejsce to było zajętem, było tak bezpieczne i tak wygodne jak loża teatralna. Widziałem najdokładniej cały przebieg bitwy, nie będąc sam widziany, gdy tymczasem wódz na zielony i jego sztab generalny spijał szampany za górami i rowami. Czy dacie temu wiarę, że po upływie dwóch godzin od chwili, w której atak rozpoczęty na redutę został odparty przez Turków, nie wiedział Zatow zgoła nic o tem, że armia jego poniosła straszną klęskę? Wysłano żołnierzy do boju na chybił trafił; wojsko biło się walecznie; prawie połowa tej armii poległa na placu bitwy, a wódz który miał kierować bitwą, nie wiedział nawet o tem, że o godzinie 12 w południe rozpoczął się atak na redutę! Atak został odparty przed godziną 4 po południu a o godzinie 6 wieczorem nie wiedział jeszcze o tem Zatow i jego sztab generalny. Jest to fakt niezbity. Przekonałem się o tem osobiście, gdy bowiem po powrocie do stanowiska gener. Zatowa i jego towarzyszy zapytałem kilku oficerów z otoczenia generała, czy wiedzą co się dzieje na placu bitwy, odpowiedzieli mu, że zgoła nic nie wiedzą! Taki fakt nie potrzebuje komentarza. W dniu następnym widziałem pewnego generała brygady, siedzącego spokojnie przy śniadaniu w rowie w licznem gronie oficerów sztabowych, i to w chwili, w której wojsko przelewało krew, usiłując zdobyć pozycyę utraconą w dniu poprzednim. W liście następnym przytoczę wam jeszcze inne powody niepowodzeń armii rossyjskiej“.

KRONIKA

§ **Adres prawników** do znakomitego ekonomisty Józefa Supińskiego, który jak wiadomo, w tym roku obchodzi 50 letni jubileusz literacki, podpisali już, jak nam donoszą, wszyscy członkowie tutejszego c. k. sądu krajowego, urzędnicy c. k. prokuratoryi skarbu i innych władz miejscowych; z kraju zaś nadeszły na ręce redakcyi *Prawnika* i *Przeglądu sądowego*, według umieszczonych w pismach tych wykazów, podpisy urzędników sądowych i politycznych, adwokatów i notaryuszów, tudzież osób prywatnych z 50 przeszło miejscowości, a z każdym dniem nadchodzą dalsze podpisy z rozmaitych stron kraju. Liczba podpisów dosięga już tysiąca. Dla prawników, którzyby chcieli podpisać jeszcze adres we Lwowie, złożono arkusze w księgarniach pp. Wilda, Seyfartha i Czajkowskiego, Bartoszewicza, Richtera, Milikowskiego i Bełzy. Termin podpisywania przedłużono po koniec b. m.

† **Ks. K. Kopertyński**, kanonik kapituły lwowskiej, umarł przedwczoraj w 55 roku życia. Pogrzeb odbędzie się jutro rano.

— **Wielkie wrażenie** sprawiła w Peszcie depesza telegraficzna z Bokszegu, w komitacie aradzkim, według której zastrzelił się tam z niewiadomych powodów zięć pretendenta do tronu serbskiego, księcia Aleksandra Karageorgiewicza, Konstanty Nikołajewicz.

— **Scena francuska**, jak już wczoraj donosiliśmy, utraciła w ostatnich dniach dwóch celniejszych swych pracowników, komedyopisarza Teodora Barrière i wodwilistę Augusta Lauzanne. Pierwszy urodzony był w Paryżu w r. 1823 i z razu oddał się był zawodowi kartograficznemu, ale już wnet zwrócił się na właściwsze sobie pole dramatyczne. Sam lub też wspólnie z innymi autorami napisał przeszło pięćdziesiąt komedyj, które mniej się odznaczają osnową i wypracowaniem charakterów, ale w istocie tryskają dowcipem i komiką sytuacyi. Z komedyi tych znaczna część dostała się także na sceny polskie, a niektóre, jak „Fałszywi poczciwcy“, „Fortepian Berty“, „Pożar w klasztorze“ zdobyły sobie prawo obywatelstwa w repertuarze naszych teatrów. Barrière umarł po krótkiej chorobie na zapalenie błony piersiowej. August Teodor Lauzanne de Vaux-Roussel urodził się w r. 1801. Pierwszy wodwil, który mu zjednał rozgłos, była to parodya *Hernaniego* Wiktora Hugo. Naspół z Duvertem, teściem swym, napisał Lauzanne przeszło sto wodwillów, które przez kilkadziesiąt lat utrzymywały się w repertuarze teatrów *Palais-Royal* i *Variétés*.

— **Według przepowiedni** szkockiego meteorologa i astronoma p. Piazzi Smith, ogłoszonej w czasopiśmie londyńskim *Nature*, powinniśmy być przygotowani na ciężką, „twardą“ zimę. „Obliczyłem właśnie — powiada p Smith — przeciętną naszych stanów termometrycznych i zestawiłem tę cyfrę z wynikami takich obliczeń w ostatnich 40 latach. Z wykazu tego wysnuć można przedewszystkiem następujące wnioski, które zresztą potwierdzają tylko w zupełności to, co hypotetycznie twierdziłem już w roku 1870, a mianowicie: 1. W czasie od r. 1836 do 1876 trzy wielkie fale ciepła dotknęły z zewnątrz ziemię naszą, a to w r. 1846/47, w r. 1858/59 i 1868/69; fali takiej więc oczekiwać znowu można w r. 1879/80, jeżeli warunki ciepłoty zupełnie się tymczasem nie zmieniły. 2. Okresy wielkiego zimna wcale nie przypadają w pośrodku czasu, rozdzielającym owe fale, ale właśnie zdarzają się na rok przed i po takiej fali. Już tej zimy przeto może się nam zapowiedzieć okres mroźny, mający poprzedzić falę ciepła z r. 1879/80.

— **O wybuchu w prochowniach** Makrikeny pod Stambułem dnia 4 b. m. przedpołudniem, dochodzą bliższe szczegóły. W samym Konstantynopolu słyszano cztery w krótkich przerwach detonacye, które sprawiły wielkie przerażenie, zwłaszcza na przedmieściach, nie wiedziano bowiem, co się stało. Tłumy pieszych i jezdnych tłoczyły się drogą ku Makrikeny, a wiele osób, chcąc skorzystać z odchodzącego tam właśnie pociągu, zalegało dworzec Siakedje-Iskelassi. Tymczasem już nadeszła była wiadomość, że wyleciały w powietrze prochownie, położone w samym środku osady Makrikeny (!), gdzie już przed dwunastu laty zdarzyła się była taka sama katastrofa. Okropny obraz spustoszenia przedstawił się podróżnym, kiedy się pociąg zbliżył do Makrikeny. Nie ma w całej tej miejscowości domu, który by nie był uszkodzony. W miejscu, gdzie stały prochownie, znajdowała się tylko kupa gruzów i szczątki ciał ludzkich. Ze stu przeszło robotników, którzy byli zatrudnionymi w prochowniach, tylko dwunastu pozostało przy życiu, odniosłszy ciężkie lub lżejsze uszkodzenia, z reszty znajdowano tylko luźne członki i niekształtne masy ciała!

Notatki literacko-artystyczne.

Pan Tadeusz, jak tyle innych arcydzieł poetyckich, nie ma szczęścia do tłómaczy. Wiemy jak brzmi w języku niemieckim *Der letzte Zajazd in Litthauen*, wiemy, w jak uroczym kształcie przedstawił go Francuzom pan *De l'Ile Noire*... Zdawało się, że te bolesne zawody wynagrodzi przekład rossyjski p. Berga, bo skoro się pojawił na półkach księgarskich, sprawozdawcy nie posiadali się z radości, głosząc, że jest świetnym, niezrównanym, wolnym od wszelkiego zarzutu! Panowie ci zapewne nie zadawali sobie wiele trudu przed wydaniem tłómaczeniu Berga patentu na doskonałość; dość im było dowiedzieć się z przedmowy, że „ostatni wajdelota Litwy“, Odyniec, częstokroć słuchając go, wylewał łzy rozrzewnienia, że raz nawet w skutek doznanego wzruszenia, „odszedł do drugiego pokoju, położył się na kanapie i długo nie mógł przyjść do siebie“. I jakżeż w obec tak wymownie objawionego uznania było przystępować do krytyki, zimnym skalpelem Zoila rozbierać to, co tak zachwycało autora *Barbary*...

To też dość dużo czasu upłynęło, zanim się zdobył na czyn tak zuchwały p. Adolf Barański. Nie przekonany „uniesieniem“ Odyńca podaje on w *Przeglądzie Polskim* szczegółowy i specyalny rozbiór, wykazujący, że p. Berg lubo znakomity skądinąd tłómacz, pod pewnym względem niemniejszą krzywdę wyrządził nieśmiertelnej epopei, jak poeta z „czarnego Ostrowu“, wielokrotnie bowiem tam, gdzie cenzura nie stawiała najmniejszych trudności, opuszczał całe ustępy, dochodzące do kilkudziesięciu wierszy, przerabiał i poprawiał inne wedle swego gustu, zastępując poetyckie zwroty i porównania oryginału własnemi, obniżając nastrój, psując charaktery jak Zosi, Buchmana, po części Jankiela, słowem obszedł się z Mickiewiczem podobnie, jak tłómacze XVIII wieku z Szekspirem...

Dla usprawiedliwienia tak surowego sądu podajmy za p. Barańskim kilka charakterystycznych przykładów. Zaraz na samym wstępie owe piękne, serdeczną goryczą natchnione słowa: „O czem tu dumać na paryskim bruku i t. d.“ przepuszcza tłómacz przez sito konwencyonalnej, mdłej frazeologii, mówiąc: „Jakie tu zbierzesz *poezyi kwiaty*? O czem tu śpiewać będziesz wśród tej wiecznej krzątaniny“ i t. d.

Gdy hrabia, mówiąc nawiasem u Mickiewicza „bogacz“, w rosyjskim przekładzie zaś niewiadomo dla czego „obciążony długami“, ujrzawszy po raz drugi Zosię, przypomina sobie przygodę w ogrodzie i mówi:

Miałożby to cudowne, śliczne widowisko...,

p. Berg ani myśląc stosować się do oryginału, komponuje niesmaczną fantazyą w najgorszym smaku: „O Boże, czyż i tu taka sama illuzya i złudzenie: zaledwie się przybliżysz, rozwieje się mgła wyobraźni, i ja zamiast ondyny zobaczę brudną figurę ochmistrzyni, a zielona tkanina, ten aksamit, będzie mchem, pokrzywą, lebiodą, rzepiem i łopianem“...

Świetny obraz dogorywającego niedźwiedzia zepsuł tłómacz fatalnie.

„Skoro tylko, mówi, zamilkł ostatni dźwięk ostatniego *wiwatu* (rogu Wojskiego), wszyscy spojrzeli za siebie, gdzie jak góra(!) leżał kosmaty zwierz, ryjąc pazurami ziemię, a zło pyskacze (*mordaszi*) rwały pierś bohatera“.

Licząc zapewne na to, że jego czytelnicy będą wymagali silniejszych efektów, pozwala sobie p. Berg tak niewinnych dodatków, jak n. p. że Zosia umywała piersi lub że Tadeusz wycisnął całus na... nodze Telimeny! Dla dodania poematowi siły, wzbogaca go takiemi wyrażeniami: „Biją nas po bokach, ledwie że nie po pysku! (*po rożje*); gdzie indziej znowu spotykamy *ryło*, wyraz nie dający się wcale przełożyć na polskie.

P. Berg każe, by ziemia i niebiosa „oddawały się rozmowom lubieżnym“ (*sładostrasnym*), czego wcale nie zamierzał poeta. W ogólności zamiast oddać wiernie przepyszne obrazy natury, lubi się tłómacz puszczać raczej na wzdęte flukta własnej twórczości, w przekonaniu zapewne, że zaćmi oryginał. Posłuchajmy jednego z podobnych ustępów: „Wszystko dokoła było pełne cichości; głębokim snem dokoła wszystko spało a z niebios patrzyły gromady gwiazd tak zachwycająco, że.. trudno się oderwać“ i t. d.

Biedny Mickiewicz nie miał dość poetycznego stylu; dlatego tłómacz dodaje mu weny pisze: „buchnęły *rzeką* na *piers* (!) Tadeusza nic dające się powstrzymać srebrne łzy“... Telimenie każe „jęczeć i krzyczeć strasznie“ (*takoj podniała ston i wopli strasznyje*), podkomorzemu po bitwie kładzie w usta wspaniałą i głęboko pomyślaną mowę! „Koniec ma wszystko! Morze(!!) krwi przelane! Dość już rannych zaraz opatrzeć, rozebrać po domach, do chałup, z nieżywych ciał oczyście podwórze i pole: z tych zaś, którzy żywi, nie szydzić już więcej, cześć walecznym tak swoim, jak i Moskwie!“ Po wyznaniu Jacka klucznik „rzucał oczami jakiś płomień dziki, jak tygrys rozmierzał stanowczy skok, lecz zamarł i stanął i — nie mógł się ruszyć“...

Jak mało w swych przeróbkach uczony profesor i historyk dba o fakta historyczne, widać ztąd, że wedle niego elekcya Stanisława Augusta odbywa się w sejmie czteroletnim a pod Targowicą zawiera się jakiś traktat. *Sapienti sat!*

TELEGRAMY GAZETY LWOWSKIEJ

Wiedeń, 21 października. (*Tel. pryw.*) Według najświeższych depesz z Moskwy obiegała tam wprawdzie pogłoska o uwięzieniu Aksakowa, ale okazała się nieprawdziwą. Aksakow swobodnie propaguje krucjatę panslawistyczną przeciw Turkom i ma w Czerkaskim równie zapamiętałego towarzysza.

Minister hr. Pahlen powołany do Górnego Studna w sprawie procesu nihilistów.

Wiedeń, 21 października. (*Tel. pryw.*) Z Poradimu otrzymała *Presse* wiadomość, że komunikacya między Plewną a Orhanie przerwana. Rossyanie zajęli pozycyę Telisz a Turcy opuścili trzy podminowane reduty pod Plewną.

Generał Radetzky złożył raport o pomyślnym dla Rossyan stanie rzeczy w Szybce.

Budapeszt, 21 października. (*Tel. pryw.*) Tutejsza policya skonfiskowała 12.400 centnarów szyn przeznaczonych do Orsowy.

Budapeszt, 20 października. Izba deputowanych uchwaliła przystąpić do rozprawy szczegółowej nad ustawą o podatku od cukru.

Paryż, 20 października. *Francais* oświadcza, że marszałek Mac Mahon wytrwa na drodze konstytucyjnej i walczyć będzie z radykalizmem.

Petersburg, 20 października. *Goniec urzędowy* ogłasza ukaz carski z 14 b. m., którym baterye rezerwowe zostają postawione na stopie wojennej.

Journal de St. Petersbourg oświadcza, że skoro tylko stosunki na to zezwolą, rząd podniesie walutę przez skonsolidowanie znacznej części bieżącego długu, co wymagać będzie zaprowadzenia podatku klasowego a ewentualnie innych ciężarów. Z nowej emissyi banknotów w sumie 209 milionów wydano 153 milionów na cele wojenne.

Londyn, 20 października. *Advertiser* dowiaduje się, że Anglia nie zrobi żadnej że stron wojnę prowadzących propozycyi medjacyjnej. Mocarstwa uważają w tej chwili propozycye pokojowe za niestosowne.

Konstantynopol. 20 października. Urzędowy telegram potwierdza, że Muktar basza zajął pozycyę Khizirdere w okolicy Soghanludagh a Raszid basza, który z częścią swojej dywizyi przebił się przez szeregi rossyjskie z Aladżadaghu, znajduje się obecnie na wzgórzach pod Subakam w 12 godzinnej odległości od Khizirdere. Achmed Ejub basza i Rifaat basza wyjechali do Erzerum.

Konstantynopol, 20 października wieczór. Layard miał dziś dłuższą konferencyę z Edhemem baszą i Serwerem baszą.

Dzisiejszy telegram Osmana baszy potwierdza, że wczorajszy atak Rossyan, na pozycyę Rodor został odparty. Rossyanie ponieśli wielkie straty. Walka działowa trwa dalej.

Odpowiedzialny redaktor Władysław Łoziński.

Z drukarni W. Łozińskiego, przy ulicy Czarneckiego, w domu p. Wernera, pod l. 12.